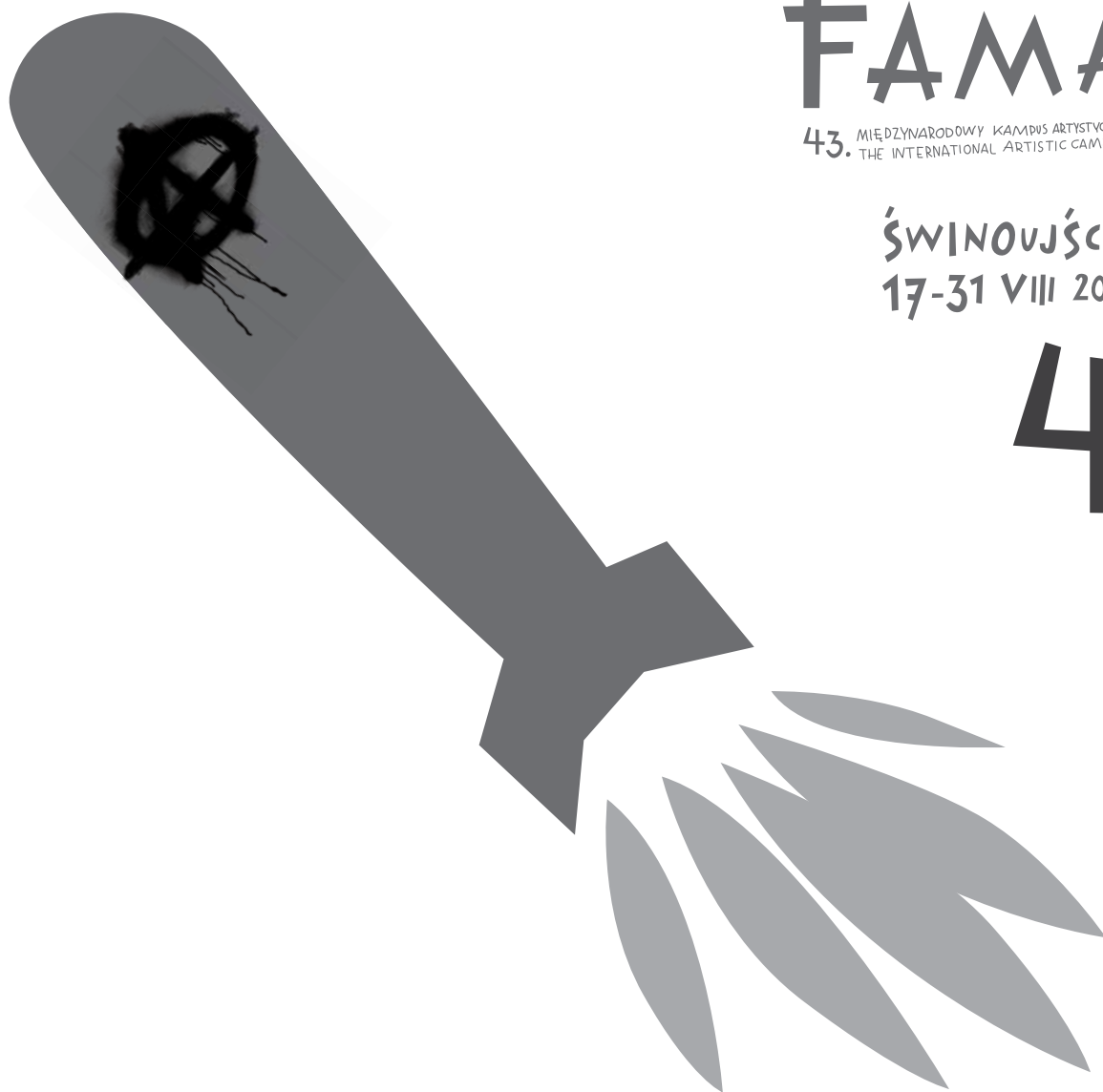


TORPEDA



FA MA

43. MIĘDZYNARODOWY KAMPUS ARTYSTYCZNY
THE INTERNATIONAL ARTISTIC CAMPUS

ŚWINOUJŚCIE
17-31 VII 2013

4

LUDU

To był taki okres radosnej amatorszczyzny

Monika Błaszczak



fot. Martyna Woch

Monika Błaszczak: Jak wyglądał początek lat dziewięćdziesiątych w Warszawie?

Krzysztof Varga: Lata dziewięćdziesiąte, wiadomo, jakiś tam jakiś ferment, zmiana systemu przede wszystkim. Z tego co pamiętam duża zmiana, która polegała na tym, że moi koledzy, z którymi chodziłem na piwo i jeździłem na wakacje stawali się dyrektorami z dnia na dzień. Jakimiś ważnymi urzędnikami w firmach. Cały myk z moim pokoleniem polegał na tym, że w osiemdziesiątym dziewiątym roku dostaliśmy prezent od losu, otworzyły się przed nami jakieś niebywałe możliwości. Chcieli nas wszędzie. Ja właśnie wylądowałem w Gazecie Wyborczej (przyp. aut.) wtedy. Przede wszystkim wspominam te lata, jako czas jakiegoś chaosu kompletnego. Jeśli chodzi o literaturę to dopiero rok dziewięćdziesiąty drugi, trzeci to był taki początek jakiejś zmiany. Wtedy wszyscy oczekiwali, że po zmianie systemu powinna pojawić się jakaś nowa literatura, nowe pokolenie, które wszystko zmieni i otworzy nowy rozdział, opisać tę zmianę. To nie do końca zostało spełnione oczywiście i kluczowym momentem był rok dziewięćdziesiąty drugi bodajże, kiedy pojawiła się pierwsza tak zwana fioletowa seria Brulionu, czyli

tomiki wierszy Świetlickiego, Sendeckiego, Podsiadły, co jeszcze Robert Tekieli robił, kiedy był w miarę blisko rzeczywistości. A później przyszli Ci nowi autorzy w rodzaju właśnie Stasiuka czy Tokarczuk, pojawiło się hasło małych ojczyzn. Generalnie różnica między latami dziewięćdziesiątymi a dzisiejszym dniem polega na tym, że wtedy odbywała się jakaś debata i dyskusja na temat literatury. Wtedy w głównych dziennikach i tygodnikach dyskutowano na temat nowej literatury i nowych książek, nowych autorów, poważnie się o to spierano. Dzisiaj widzę, że żyjemy w czasach przede wszystkim internetowo-telewizyjnych, gdzie każdy news żyje tylko jeden dzień, a poza tym media nie są zainteresowane generalnie kulturą. Uważają, że to jest nudne. Mi najbardziej po prostu brakuje poważnej rozmowy o literaturze. W Polsce. Dzisiaj.

MB: Pytam o tamte czasy, dlatego że byłeś autorem wraz z Pawłem Duninem – Wąsowiczem dwóch ważnych dla ówczesnej literatury pozycji: książki „Parnas Bis. Słownik literatury polskiej urodzonej po 1960 roku” (1995) oraz, tu dołączył do was Jarosław Klejnocki, antologii „Macie swoich poetów. Liryka polska urodzona po 1960 roku” (1996). Jesteś w stanie porównać tamtą literaturę z tą pisaną dzisiaj?

KV: Nie porównuję, bo moja dzisiejsza wiedza na temat najnowszej literatury jest o wiele uboższa. Wtedy się w tym kręciłem. Wtedy pisma literackie miały pewną pozycję. Wszyscy wtedy czytaliśmy pisma literackie, dziś nikt nie czyta pism literackich, bo po co. Tak naprawdę, wtedy było trudniej wydać książkę, a dzisiaj wydać książkę jest stosunkowo prosto. Jeśli chodzi o te książki to nie miałem ich w ręku od 15 lat pewnie, ale gdybym miał wziąć je do ręki teraz to podejrzewam, że 90% tych nazwisk, które tam wstępują dzisiaj albo nie istnieje albo nie odgrywa żadnej roli albo jest kompletnie na marginesie. Ale to jest normalne, że zawsze z tłumem ratują się tylko jednostki. One jakoś tam są głośniejsze później. Dzisiaj przede wszystkim literatura została na pewno zepchnięta do jakiegoś getta, do swojego świata, tak mi się wydaje, w przeciwieństwie do tamtych czasów. Nie chcę marudzić, wiesz, że wtedy było lepiej, bo ja nie mówię, że było lepiej, ale było jakoś tak interesująco, dla mnie. Ale przede wszystkim ja byłem młodszy, interesowałem się tym. Dzisiaj przyznam szczerze, że ja nie czuję takiego jakiegoś przymusu, żeby śledzić wszystko, co jest nowe. Zwłaszcza, że sam zajmuję się swoimi sprawami i coraz chętniej wracam do klasyków i już nie mam czegoś takiego, może jest to przywilej młodości, że czytasz wszystko, co wpadnie Ci w ręce. Dziś bardzo selektywnie podchodzę do książek. Jeżeli biorę jakąś książkę i po 50 stronach ona mi się nie podoba, to odkładam. Kiedyś czytałem do końca, bo uważałem, że no nie, jak zacząłem czytać to uczciwość wymaga tego, żeby skończyć.

Dzisiaj tego nie muszę robić, zwłaszcza, że ja nie jestem tak naprawdę krytykiem literackim. Mi się zdarza pisać recenzje, ale zawodowo się tym nie zajmuję. Piszę felietony i swoje książki. Gdybym, mówiąc cynicznie, czytał wyłącznie to, co się ukazuje, to nie miałbym czasu sam pisać.

MB: Wracając do wczesnych lat dziewięćdziesiątych, gdzie wtedy zdarzyło Ci się pracować w domu kultury.

KV: Tak. Wylądowałem w domu kultury na starówce w Warszawie (przyp. aut. SDK), dlatego, że mój kolega, wtedy był początkującym poetą, udzielał się w tym domu kultury, a wtedy był jeszcze przymus tak zwanych praktyk robotniczych. Studenci, przed pierwszym rokiem studiów musieli iść na miesiąc do jakiejś fabryki. Fabryki żarówek, proszku do prania czy FSO na Żeraniu. Dzięki mojemu koledze zahaczyliśmy się w domu kultury na praktykach robotniczych, jako pracownicy fizyczni. No i wtedy zobaczyłem, to była końcówka lat osiemdziesiątych, ten umierający, odchodzący układ starych poetycki gwiazdorów PRLu, których dzisiaj nikt nie pamięta. To było dla mnie interesujące, a ciekawie było tam jeszcze dlatego, bo pojawił się później Jacek Podsiadło, który zaczął wydawać serię poetycką, tomiki wierszy na ksero. To jeszcze były czas, kiedy była cenzura. Było coś takiego, że albo trzeba było iść do cenzury z tymi tomikami wierszy albo można było wydawać książki na prawach rękopisu, czyli do 99 egzemplarzy. Tłukliśmy więc na ksero jakieś tomiki wierszy w liczbie 99 egzemplarzy. To był jeszcze czas, gdy były art ziny na przykład, fan ziny, czyli to był czas eksplozji ksero. W ogóle, wszystko można było kserować. Nie było sieci, więc to była generalnie działalność partyzancka, ale dosyć zabawna. Ja myślę, że tam bardzo ważną postacią w pewnym momencie był właśnie Jacek Podsiadło, z którym razem pracowaliśmy, bo on przede wszystkim odkurzył kilku trochę zapomnianych poetów i zaczął wydawać im tomiki.

MB: Czy tam też gdzieś jest twój tomik?

KV: Ja nigdy nie pisałem wierszy, ani jednego. Ja miałem świadomość tego po prostu chyba, dziękuję za to Opatrzności, że nie mam talentu i nie powinienem pisać wierszy. Tak, nie mam czuja do tego. Zawsze wiedziałem, że proza to będzie to, czym się zajmę, a nie poezja.

MB: Wydawaliście też wtedy czasopismo literackie „Krzywe Koło Literatury”.

KV: To było pismo wydawane na ksero. Proste, w formacie A5 zdaje się, czyli dosyć duże. Amatorskie pismo, paru gówniarzy. Nie mam specjalnie jakiegoś sentymentu, no to taki etap w życiu po prostu. Przede wszystkim fajne to, że był tam dyrektorem Sebastian Lenart, który nam na to wszystko pozwalał. Dał nam pokój i kserokopiarkę, siedzibę.

MB: Który to był rok dokładnie?

KV: Ja tam pojawiłem się w osiemdziesiątym siódmym, więc to była sama końcówka lat osiemdziesiątych, sam początek lat dziewięćdziesiątych. No, ale oczywiście, to też nie mogło wiecznie trwać, bo wiadomo, że nawet w latach dziewięćdziesiątych trudno sobie wyobrazić pismo wydawane na ksero, prawda. Zupełnie bez

sensu, więc to był taki okres radosnej amatorszczyzny. No i oczywiście jakiegoś tam takiego entuzjazmu, że robimy fajne rzeczy. Ale traktuję to w tej chwili tylko jako jakiś krótki etap w swoim życiu, nic więcej.

MB: Specjalnie wydaliście tylko 99 numerów tego pisma?

KV: Nie pamiętam w tej chwili ile dokładnie tego wyszło. To był miesięcznik. Tam się udzielał jeszcze mój kolega Jacek Lewinson, który dzisiaj jest bardzo poważnym przedstawicielem wydawnictw. On mnie tam właściwie ściągnął. No, a później to wiadomo, wypadło się jakoś. W tej chwili to jakby w pewnym sensie kontynuują Beata Gula i Tomek Świtalski z „Kryzysu” (przyp. aut. Brygada Kryzys). Oni to ciągle ciągną, ale dla mnie to jest kompletna przeszłość już. Ja poszedłem do gazety pracować i zaczynałem pisać recenzje książek, później byłem redaktorem. Spędziłem tam bardzo dużo czasu. A dzisiaj to jest dawno miniony etap mojego życia

MB: Ale Twój debiut jeszcze został wydany w Staromiejskim Domu Kultury.

KV: Tak. Cienka książeczka pod kretyńskim, pretensjonalnym tytułem „Pijany anioł na skrzyżowaniu ulic”, Matko Boska. Miałem taki plan, by wysledzić wszystkie egzemplarze i spalić, zniszczyć. Wiesz, my mieliśmy wtedy pewną łatwość wydawania książek. To było proste. Akurat nie było na ksero, ale jakoś tam nakład 1000 egzemplarzy, zaprzyjaźniona drukarnia, szara okładka, tylko z tytułem i nazwiskiem. To było proste. Nikt specjalnie tego nie redagował nawet. Ja miałem jakąś sieczkę w mózgu zupełną, wtedy. Nie ma, o czym mówić. Gdybym mógł to bym po prostu wykreślił ten tytuł ze wszystkich możliwych miejsc. Tak, ale tego się nie da, bo niestety jest Internet. I można do tego dotrzeć jakoś. Natomiast nie traktuję tego poważnie. No takie tam sobie jakieś opowiadanka po prostu mniej lub bardziej głupie, mniej lub bardziej pretensjonalne. W ogóle się dziś z tym nie identyfikuje. No, ale każdy jakoś tak zaczynał.

MB: A jak patrzysz na rynek zinów tamtych czasów?

KV: Napisałem pracę magisterską o art zinach. Generalnie erupcja art zinów była bardzo fajna, ale wiązała się z tym, że nagle ksero stało się dostępne, a w sposób naturalny umarło w momencie, kiedy pojawił się Internet. To była taka forma przejściowa złotych czasów kserokopiarek, które stały się nagle takim cudownym narzędziem, że można było powielać różne swoje wytwory i wybryki. Ten cały ruch artzinowski był fajny i zabawny, ale kto z tego został? Nikt z tego nie został. W pewnym sensie Jacek Podsiadło tam krążył, dlatego że on tam publikował swoje wiersze gdzie się dało, więc publikował w tych art zinach, ale tak naprawdę Ci ludzie, którzy wydawali art ziny i zajmowali się tą radosną amatorską twórczością, spotykali się na jakichś zjazdach artzinowców, wymieniali się między sobą te pisma, które rozsyłali pocztą, to było super, ale na dłuższą metę to kompletnie nie przekładało się na literaturę, tak naprawdę. No gdzieś fajny epizod, no bo fajny epizod związany po prostu z twórczością amatorską, taką radosną, entuzjastyczną taką.

MB: Więc kiedy zaczął się profesjonalista Krzysztof Varga?

KV: Nie wiem. Myślę, że jakoś w latach dziewięćdziesiątych. Dla mnie ważnym momentem było to, że wylądowałem w Wydawnictwie Czarne, pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Dziewięćdziesiąty siódmy, ósmy to jest początek moich konszachtów z tym wydawnictwem, które wtedy się rozkręcało dopiero. Słowo profesjonalista brzmi trochę tak jak kurde cynik, taki zawodowiec, wiesz.

MB: A nie jest troszeczkę tak?

KV: Nie nie jest tak, znaczy, jakby to powiedzieć, każdy autor musi się w pewnym momencie sprofesjonalizować i zacząć podchodzić do swojej literatury trochę bardziej na zimno, no ale nie znaczy, że źle. Przede wszystkim trzeba zacząć zauważać swoje błędy, swoje wtopy, zacząć siebie czytać uważnie, mówić „no stary co to za bełkot”, a nie po prostu pisać pisać w jakimś podnieceniu po prostu i od razu publikować wszystko co gorące, co się uda, bo to naprawdę na dłuższą metę nie ma żadnego sensu.

MB: Czy masz wrażenie, że stajesz się trochę bardziej gorzki?

KV: Jasne, w pewnym wieku, to znaczy zawsze, jakby przekraczasz pewną jakąś smugę cienia i stajesz się bardziej osobą lekko zgorzkniałą. To jest dobre, tak, dlatego, że daje Ci pewien dystans do różnych rzeczy. Ja na przykład karierę sławnego felietonisty

rozpocząłem dopiero po czterdziestce i to jest bardzo dobre, dlatego że stałem się już na tyle odpowiednio trochę wredny i lekko zgorzkniały, w pozytywnym sensie tego słowa. Ja nie chciałbym siebie oglądać, jako entuzjastycznego, podnieconego czterdziesto parolatka. Byłbym kuriozalną postacią jakąś, żalosną zupełnie. Poza tym zyskujesz taką świadomość, że tak naprawdę pisanie to jest samotne, bardzo samotna działalność. Oranie pola ugoru i kamieni. To nie jest tak, że po prostu coś se tam napiszesz, bo masz natchnienie i opublikujesz to i w ogóle wow, ale fajnie i znajomi Ci tam zalakują. Nie, kurde, nie, siedzisz sama i piszesz i się zmagasz z tą literaturą. Z tym swoim pisanie, z tym, że Ci coś nie wychodzi, a czasami jest fajnie, a czasami jest niefajnie. Jesteś sama ze sobą, znaczy się nie ma drugiej tak samotnej twórczości jak pisanie. Bo jak kręcisz filmy to kręcisz je z całą ekipą, jak robisz teatr to też ludźmi, jak masz zespół to masz parę osób w tym zespole, a przede wszystkim nagrywasz piosenkę i wychodzisz na scenę i od razu masz odzew. Jak piszesz powieść to siedzisz sama przez rok sama ze sobą po prostu i targają tobą, wiesz, różne sprzeczne uczucia, i to takie, że czasami wydaje Ci się, że to jest bardzo fajne, a czasami myślisz Boże, ale to jest, nie to jest fatalne zupełnie. Więc nie da się już być zupełnie, kiedy już się poważnie pisze, wesołym rock'n'rolowcem i zabawowym chłopcem do końca.

Borntubiluzer

Aleksandra Członka

Krzysztof Varga

Tequila

Wydawnictwo Czarne
Wołowiec, 2010



Refleksje nad trumną przyjaciela. Pięknie.

Raczej pod trumną, bo musisz ją niesć. I to jest gorsze niż ta cała śmierć. I życie. Razem wzięte.

Pierwsze dwie strony i myślisz nie wytrzymam. Łapiesz oddech na początku pierwszego zdania i wypuszczasz dopiero gdzieś w połowie książki. Bo wiesz, że już tak będzie. Do końca. Męcząco. Nie wytrzymasz. Ale nie. Dajesz radę. Wiesz o co chodzi. Że to tak będzie.

Zbliżasz się do końca i niczego się już nie spodziewasz. Nic się nie stanie. Nic się nie dzieje. I to jest lepsze niż to wszystko. Razem wzięte.

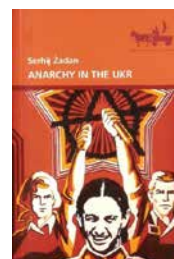
Anarchy in the UKR

Piotr Oprządek

Serhij Żadan

Anarchy in the UKR

Wydawnictwo Czarne
Wołowiec, 2007



Lektura *Anarchy in the UKR* przypomina grzebanie w złomie. Po przebrnięciu przez całość czytelnik zostaje z głową obolałą od przerzucania zbędnych słów. Jednak ze zwałów trzeszczących monologów udało mu się wygrzebać kupkę nostalgiczno-groteskowych anegdot i trafnych spostrzeżeń zdalnych do wmontowania w wysokiej klasy literacką maszynę. Przez chwilę z satysfakcją spogląda na zdobycz, a gdy uświadamia sobie swoje położenie, w mgnieniu oka rzędzie mu mina. Prawdopodobnie po cichu rzuca kurwami. No bo po co było to wszystko? Żadna z części, mimo że obiecująca, nie jest kompletna, a on, biedny szperacz, nic z tym zrobić nie może. Pozostaje mu tylko schować je w pamięć i nosić ze sobą, aż się pokruszą i w końcu pogubią.

Stać się adwokatem diabła

Mateusz Grzeszczuk



fot. Martyna Woch

Mateusz Grzeszczuk: W trakcie pobytu w Stanach Zjednoczonych spotkała Pani wiele osób, które nie zawsze od początku do końca przekonani byli o idei budowania nowej historii Road 66. Zastanawiam się, czy miała Pani świadomość, że odgrywała Pani rolę pewnego mentora, budowała motywację do działania, po części obnażała ich z uczuć.

Dorota Warakomska: Czy miałam tego świadomość? Tak, miałam. Ludzie, których spotkałam na Drodze 66, mnie bardzo zainspirowali. Otworzyli mi oczy na wiele sytuacji, na wiele rzeczy z których nie do końca zdawałam sobie sprawę. Z tego, że bardzo ważne jest to, żeby wiedzieć czego się chce. Uważam, że skoro sama potrzebowałam ładnych kilku lat, aby się tego dowiedzieć, to powinnam dzielić się tą wiedzą. Nie uważam, że to obnażanie tajemnic, wewnętrznych przemyśleń. Możemy uznać to wręcz za pewnego rodzaju misję. Porównując Polaków i Amerykanów widzę, jak wiele możemy zmienić w sobie i dla siebie, w naszych lokalnych społecznościach, wzorując się na tym, co robią ludzie w Stanach Zjednoczonych.

MG.: Mnogość miejsc, duża ilość ludzi, pewnych sytuacji. Czy w takiej historii możemy mówić o jakimś przywiązaniu się do ludzi...

DW.: Spędziłam w sumie pół roku na Drodze 66 i nie jest tak, że spotykałam kogoś na pięć minut. Poznawałam tych ludzi dogłębnie, niektórzy opowiadali swoje historie po raz pierwszy w życiu. Mówili, że to jest niezwykle, że się tak otwierają, chcą mówić

o pewnych sprawach. Być może dlatego, że zadawałam im różne pytania, głównie o ich uczucia, przemyślenia, a może dlatego, że słuchałam, nie przerywałam, bo to bardzo często deprymuje. Jeżeli pada zbyt wiele szczegółowych pytań, człowiek nie zawsze jest chętny do odpowiedzi. Przyznam, że bardzo wiele osób się na mnie otworzyło i było to bardzo ciekawe doświadczenie dla mnie. Przez lata pracy w telewizji byłam zorientowana na szybkiego newsa, a na Drodze 66 przeważało nastawienie na człowieka. Za każdym razem jak kogokolwiek spotkałam, chciałam go nie tylko poznać, ale i zrozumieć. Nie tylko dowiedzieć się o nim jak najwięcej, ale zrozumieć, co powodowało, że podjął taką decyzję a nie inną. Dlaczego mieszka w tym miejscu, co sprawia, że czuje się tak z nim związany. W kraju, w którym łatwość przeprowadzania się, mobilność jest chyba największa na świecie, bo żaden Amerykanin nie ma problemu z porzuceniem swojego dotychczasowego lokum, jeśli pojawia się możliwość lepszej pracy. W 3 minuty sprzedają dom i dobytek, jadą w drugie miejsce i zaczynają wszystko od nowa. Jest to dosyć powszechnie, a właśnie tam miałam okazję spotkać takich ludzi, którzy chcieli mi coś o sobie opowiedzieć, a ja słuchając i zadając im pytania, rozumiałam, że oni są ważni także dla mnie, a ich historie są niezwykle przejmujące.

MG.:Chrześcijańskie Branson, miejsca w których całkiem niedawno istniała segregacja na czarnych i białych, albo można było kupić człowieka, różnorodność subkultur. Jak dostosować się do tak wielu miejsc, często ambiwalentnych, skrajnych. Czy to wymagało dużego wysiłku?

DW.: Na tym polega piękno pracy dziennikarza, że umie spojrzeć na wszystko rzeczowo i z boku, bez względu na to, czy mu się to podoba czy nie. Choć oczywiście ton, w którym opowiadam o Branson, oddaje mój stosunek do tego miejsca i do obecnej tam przesady. Właśnie na tym polega dziennikarska praca, żeby traktować ludzi w równy sposób, aby być równie rzeczowym i równie obiektywnym w stosunku do wszystkich osób i tematów. Żeby umieć stać się adwokatem diabła, to znaczy schować swoje poglądy i przekonania, umieć stanąć po drugiej stronie, wejść w buty drugiej osoby, wejść w jego skórę. Dla mnie jest duża umiejętność, duży plus pracy dziennikarskiej.

MG.:Taką historię mogą zepsuć sprawy techniczne, bowiem włączenie dyktafonu mogło całkowicie zmienić ton i sposób rozmowy.

DW.: Nie zdarzyło się, aby ludzie w trakcie rozmowy zmieniali swoje nastawienie. Nie nagrywałam większości rozmów, najczęściej robiłam notatki w notesie, tak po "amerykańsku". Z niektórymi bohaterami nagrywałam rozmowy, ale wtedy zaznaczałam, że mogę wywiad wykorzystać także w prasie. Rozmawiając z ludźmi, czy to w podróży, czy w knajpie - cały czas notowałam. Istotne były dwa aspekty, zdradzając szczegóły kuchni pisarskiej. Po pierwsze -

jak tylko wsiadałam do samochodu, brałam dyktafon i mówiłam wszystko, co miałam w głowie, nagrywałam sama siebie, mówiąc, jak się czułam na spotkaniu, aby oddać atmosferę, jak ten człowiek wyglądał etc. Agdy tylko dojeżdżałam do motelu, to wyciągałam laptopa i starałam się jak najwięcej spisywać na bieżąco. Raz mi się zdarzyło przesiedzieć tak w motelu trzy dni, bo miałam ogrom przemyśleń, które musiałam z siebie wylać. Czułam, że nie mogę ruszyć z tego miejsca, póki tego wszystkiego nie spiszę.

MG.: Przyjaciele z Ameryki prosili o książkę? Może anglojęzyczna wersja?

DW.: No właśnie myślę bardzo poważnie, żeby zrobić tłumaczenie. Ostatnio byłam na Zachodnim wybrzeżu w USA i pojechałam do Bagdad Cafe (Kalifornia), ładnych kilka godzin jazdy od Los Angeles. Pojechałam do bohaterki mojej książki i wręczyłam jej efekt pracy: co prawda nic nie zrozumiesz, ale tu jest o Tobie, tu jest rozdział, tu są zdjęcia. Była bardzo wzruszona.

MG.: Nazywano Panią w dzieciństwie "Piekielnym Piotrusiem", a to dlatego, że nie mogła Pani usiedzieć na jednym miejscu. Może nowy kraj, nowe miejsce, nowa droga, może ta w Podlasiu?

DW.: Może! Wie Pan, to jest bardzo dobry pomysł. Mam pomysł na reportaże związane z Ameryką. Wydaje mi się, że Polska jest o tyle fajna, co niedoceniana. Taką książkę można było napisać w Polsce, ale wymagałoby to...Hmmm... Dużej dozy dobrej woli ze strony autora. Dlaczego o tym mówię? Amerykanie w ogóle nie mają problemu z wystąpieniami publicznymi, rozmawianiu z ludźmi. Umieją powiedzieć o tym, co było dobre, złe, potrafią na to spojrzeć rzeczowo. W Polsce jest tak, że kiedy przyjedzie dziennikarz, to ludzie inaczej się ubierają, inaczej myślą, inaczej zachowują. W naszym narodzie ludzie częściej

zachowują się na pokaz. Postaw się, a zastaw się. Poza tym, standardem narodowym jest narzekanie. Dużo siły wewnętrznej potrzeba, by opowiedzieć o losach Polaków nie toczyła się w samych czarnych kolorach.

MG.: Pracowała Pani w telewizji, to może pojawiła się myśl, żeby zamiast dyktafonu, notesu, spakować kamerę?

DW.: Nie mogę jednocześnie przeprowadzać wywiadu i go nagrywać, a zabranie ze sobą operatora z profesjonalnym sprzętem, byłoby ogromnie kosztowne. Pół roku spędzone na Drodze 66 było największą inwestycją w moim życiu. Pojechałam tam za własne pieniądze i wiem, że to nie ma szansy się zwrócić. Ale po prostu zainwestowałam w siebie. Z przyjemnością jednak kiedyś wrócę na Drogę, by zrobić reportaż telewizyjny.

MG.: Pojawił się jakiś chwilowy kryzys, ekstremalna sytuacja, zastanowienie: Dorota, po co Ci ta podróż?

DW.: Ani razu nie miałam takiej myśli. Nie traktowałam tej wyprawy jako obowiązku. Ekstremalne było to, że pierwszy raz nie miałam grafiku, terminarza i to było niesamowite. Wszyscy moi znajomi nie mogli się nadziwić, że nie mam nic umówionego. Próbowali ze mnie wycisnąć, gdzie będę spała, gdzie będę tego i tego dnia. Odpowiadałam, że nie mam pojęcia, a oni oczywiście patrzyli zadziwieni. To nie było w moim stylu, ponieważ zawsze wszystko miałam poukładane, brakowało spontaniczności. Właśnie z tego względu było to ekstremalne.

MG.: Dziękuję serdecznie za rozmowę, przestanie, dla wielu osób motywujące. Dziękuję za pobyt na FAMIE.

DW.: Bardzo dziękuję, było bardzo miło. FAMA jest super!

trzeba się ciągle żegnać

Marta Marciniak

robiło się wszystko co chciałeś a my nic nie wiedzieliśmy
o rzeczach małych i wielkich o rzeczach wstecz i w przód
a teraz zajmujesz się czymś innym na pewno ważniejszym
strzelaniną, przelewaniem, rządzeniem

nic nam do tego
to tylko śniegi przelatują nad nami jak pożegnania
z których nic nie pamiętam bo przecież pożegnań nie było

ty robiłeś wszystko co on chciał jak śnieżne dni i godziny
pod wezwaniem na każde wezwanie przecież mówiliśmy uciekaj
uciekaj ratuj się a ty mówiłeś ratujcie siebie ja zostaję

no i zostałeś z powietrzem gładkim pachnącym na przestrzał a my uciekliśmy
patrząc w czarne ekrany i w czarne ciała które pachniały
ziemią ziemią całą

Dyskoteka (latarki i ćmy)

Mateusz Marek

No to była dyskoteka. Stroboskopy, lasery, takie małe żaróweczki, pałeczki fluorescencyjne, flesze i chyba jeszcze diodówki ale nie jestem pewien. W każdym razie tak się naoglądałem, że potem cały dzień mi się śniła epilepsja.

Jak zobaczyłem jej czułki przeszedł mnie dreszcz. Była piękna, owłosiona, grubawa i z dachówkowato złożonymi skrzydłami. Miałem nadzieję, że nie poprzestaniemy na jednym wirażu. Co z tego, że toksyczna. Te co nie są, nie chodzą przecież na dyskoteki.

A wiadomo było, że tu zaraz będzie dyskoteka.

Zawsze w tym miejscu są. A one też zawsze toksyczne. Raz co prawda widziałem jedną z buławkami na czułkach i przyznam, że było to na skraju ekstrawagancji, orientu i magii ale jednak to nie mój typ i wolałbym pozostać w tej kwestii w zgodzie z sobą samym.

Przyciąłem się na takiej drewnianej drewnianej poręczy. Myślę sobie ech mała, chciałbym zobaczyć ten kokon, z którego wyszłaś, chciałbym cię zabrać na księżyc a tutaj na ziemi chciałbym być chociaż twoim ekranem dotykowym w jakimś dobrym smartfonie, koniecznie z nawigacją. Kombinowałem jak zagadać. Przyszło mi do głowy coś w stylu: Niezła jesteś, za takie czułki chciałbym mieć cię na zawsze a dalej nawijka o tym, że mam dom pod lasem, skuter, że interesuje mnie zdrowe jedzenie, siedzenie na płocie,

zajmuje się stolarką a moim ulubionym owocem są czereśnie – chociaż to nieprawda. Bo prawda jest taka, że owoców nienawidzę, brzydzę się skuterami a najbardziej lubię siedzieć o tutaj, na poręczy. W dupie też mam cały ten świat, w ogóle nie obchodzi mnie polityka, kto z kim się przespał, komu urodziło się dziecko, czy stary jeździł czołgiem i jakie wyszły nowe serie. Nie układa mi się za dobrze a stolarką to chyba zajmuję się tylko w wypadku rozpierniczania swojego życia na drzazgi a potem ewentualnie jeszcze weterynarią w ramach wyciągania ich z własnej dupy. Ale tak chwilę sobie marzyłem, że może jednak dzisiaj się ułoży. Ona taka puchata i piękna, wzorek ma zajebisty i w ogóle wygląda trochę jak szyszka. Aż mi się od razu apetyt zrobił na igły sosnowe czy coś w tym klimacie. Może jednak po tylu bolesnych, niespecjalnie udanych razach uda mi się ją zawlec gdzieś po wszystkim. Zawsze słyszę, że nieźle się zapowiadało a jak przychodzi co do czego to i tak znikam co noc, w ogóle się nie staram i lecę właściwie na wszystko. Może ta będzie inna?

Gdy wjeżdża pierwsze oświetlenie, rwie mnie do tańca. Zastanawiam się czy już prosić o towarzystwo. Szybko jednak stonowałem. Kiedyś jeden kumpel mi opowiadał, że niby taka historia, że to jeden do drugiego mówi, że ty to jesteś słaby i pewnie nie polecisz a ten polecał i się kompletnie spalił, tak że potem już nikt nie chciał z nim gadać. Borowiec – od podstawówki już zachowywał się jak debil. Kompromitacja na



dyskotece to jest najgorsze.

No ale potem to się już sam kompletnie zwariowałem. Kiedy wjeżdża tłuste światło, najlepiej mrygające, wtedy jestem królem tańca. Nie liczy się muzyka. Liczy się światło. Ja nie wiem co w nim jest. Ale kocham światełka. To jest tak, że można mieć różne hobby, wiadomo: ryby, stare monety, znaczki, zbieranie pyłku, sprzedawanie starych rzeczy na allegro, a mnie kręci

wszystko co jest jasne. Dyskoteka mną rządzi i muszę przemieszczać się ciągle z miejsca na miejsce, z miejsca na miejsce i zawsze jak już myślę, że jest dobrze, że stoję odpowiednio to zmienia się rytm, zmienia się tonacja, zmienia się nastrój i wszystko mi się zmienia. Bo wiem jedno. W życiu muszę złapać światełko. I zapominam o niej.

Pierwszy dzień wiosny

Aldona Keklak

Pierwsze promienie słońca leniwie wyłaniały się zza chmur. Wilgoć unosząca się wraz z powietrzem przypominała o trwającej przez ostatnie dwa dni ulewie. Jack wysiadł z taksówki i skierował się ku drzwiom. Wszedł. W holu kłębił się tłum ludzi, z głośników grało Radio T. Niektórzy pośpiesznie w kierunku bramek, inni witali lub żegnali się czule z bliskimi. Wielu z nich było tu w sprawach służbowych. A on stał. Stał w samym środku całego tego zgietku zastanawiając się czy postępuje słusznie. Oferta pracy przyszła tydzień temu. Nie miał wiele czasu na zastanowienie się nad właściwym wyborem. W tamtej chwili wydawało mu się to idealnym wyjściem. Potrzebował diametralnej zmiany w swoim życiu. Podjął decyzję w mgnieniu oka. Przystał na propozycję. Teraz w jego głowie pojawił się cień wątpliwości. Nie lubił zmian. Nie chciał opuszczać tego, do czego był przyzwyczajony od dziecka. Spojrzał na zegarek. Było w pół do czwartej. Za pół godziny odlatywał jego samolot. Powolnym krokiem ruszył w kierunku odpraw.

- Pobyt stały czy czasowy – usłyszał głos kobiety uśmiechającej się do niego zza szklanej szyby.

- Stały – odpowiedział po chwili wahania.

Stało się. Nie mógł już się cofnąć. Dokonał wyboru.

Miał 25 lat. Mógł zacząć żyć tak jak tego pragnął.

Kapelusz na jego głowie lekko się przekrzywił. Poprawił go i spojrzał stojącą przed nim imponującą maszynę. Jak tylko doleci będzie musiał zadzwonić do rodziców, upewnić ich, że u niego wszystko w porządku.

Godzina 19.37. Hol lotniska. Wieczorne wiadomości w radiu:

- Samolot linii Airplane lecący z Londynu do Nowego Jorku rozbił się o godzinie 16.52 u wybrzeży Kornwalii. Nikt nie przeżył.



fot. Paweł Łęczuk

po kolei

Martyna Tomczyk

przezroczyste poranki i mgła na przejeździe
koleje losu znowu muszą nas szukać po omacku
niewiele mówisz dopijając kawę - musimy wychodzić

przeptywam przez pajęczynę małych miasteczek cicho
obserwując jak kładą się do snu i chyba słyszę twój głos
ale pewnie tylko mi się wydaje bo to bez znaczenia
gdzie dojadę i o której - ciebie tam nie będzie

Małpa i krowa

Zuza Ogorzewska

Kiedy usłyszałam, że mam powiedzieć wiersz
w miejskim areszcie, spytałam – ale o czym?
Wiem tylko, jak często niewiele brakuje,
by wylądować po drugiej stronie muru.
Wystarczy głupi dowcip, który wymknął się
spod kontroli jak przyjaciel po wódcę,
wbiegł do ciemnego tunelu i zaczął wołać o wsparcie.

Na przykład pamiętam, jak zabawny był piknik nad rzeczką Lindą
nieopodal łąki, na której pasły się krowy.
Gdy większość z nas wypita tyle, że starczyłoby za 3 rzeczki Lindy,
mój przyjaciel Małpa poczuł się samotny.
Zawsze miał mocny łeb, więc zerknął pobłażliwie na poległych
i rozejrzał się za nową ekipą do flaszki,
a napotkawszy pełne wyrozumiałości spojrzenie głębokich, brunatnych oczu,
wlał krowie do pyska ostatnie pół litra.

Poranny kac jak tępy nóż przywitał nas na komendzie,
gdzie nie chcieli nam wierzyć, że Mućki nie ukradliśmy,
tylko ugościliśmy zwierzę jak się patrzy, a w nocy
musiało poczuć bluesa i zerwać się ze sznura.

Długo czekaliśmy w klatce nie wiadomo na co,
wyrzucając Małpie, że akurat na tym
pozbawionym poczucia humoru zadupiu
musiał się zdradzić ze swoją małpią głupotą.
Ale tak naprawdę nie mieliśmy mu za złe
i czuliśmy, że krowa też nie miała.
Przyjemnie było pomyśleć, że dzięki nam
zakosztowała choć skrawka wolności,
zanim zostanie na śmierć wydojona
i oddana do pobliskiej rzeźni.

Na szczęście dla nas w końcu zjawiła się w obejściu
i według oburzonego gospodarza - zatoczyła się, bekła,
a rankiem dała jeszcze zsiadłe mleko.
Mogło się to skończyć o wiele gorzej, a tak
poproszono nas tylko o opuszczenie wioski.

I kiedy słyszę, że nic nie dzieje się przypadkowo,
myślę o krowie na autopilocie i o Małpie,
który w końcu jednak trafił za kratki
po tym, jak na autopilocie płynął do domu,
a po drodze podpisał jeszcze nie wiadomo komu
lewe czek bankowe i zasnął jak dziecko.

Myślę o wszystkich chwilach, kiedy nogi niosły mnie same,
a jeden nieuważny krok mógł skończyć się pod poziomem piekła.
Ale jak Tom Waits śpiewa w „Dymie” – jesteś niewinny gdy marzysz,
„You`re innocent when you dream”.

Za dziesięć lat

Paweł Rogiński

Jest rok 1999. 31 grudnia. Na przełomie wieków, równo dwieście lat po tym jak rzekomo obok chaty czarnoksiężnika Twardowskiego, Mefistofeles prowadził dialog z czarownicą. Niebawem milion biesów miało spaść z nieba, a zegar miał wybić godzinę, której żaden człowiek w życiu nie słyszy dwa razy.

W jednym z wrocławskich bloków – dziewiąte piętro – na balkonie siedzi dwunastolatek i pisze swoją pierwszą ramotę.

Za dziesięć lat będę prawdziwym mężczyzną.
Z prawdziwym męskim torsem i z prawdziwą męską blizną.
O pięknym słonecznym uśmiechu i rzadkich długich włosach.
O lśniąco prostych zębach i zniewalającym spojrzeniu Latynosa.
Będę rozchwytywany i lubiany. U kobiet będę miał super wzięcie.
Będę miał auto, mieszkanie i ukochaną partnerkę.
Będę najmłodszym polskim pisarzem, odkryciem roku 2009!
Będę pisał epopeje, rapsody, fraszki. Będę pewny siebie.
Będę mógł chodzić po pubach, operach i kinach,
Pić niezliczone ilości wódki, piwa, wina.
Będę miał wszystko, czego zechcę i tutaj UWAGA
Obiecuję wam, ponieważ wiem czego chcę dla siebie i czego od życia wymagam!
Śmiesz was co?
HA! Będę dorosłego złote posiadał miano!

Dziesięć lat później w prawie opustoszałym pokoju, gdzie półmrok rozświeca tylko lekkie migotanie ze świec kandelabrow, przy biurku siedzi dwudziestodwulatek, w obdartych łachmanach, z kilkoma miedzianymi monetami w kieszeni. W prawej ręce trzyma długopis, a pod nią kartkę. Patrzy pustym wzrokiem w ścianę i przypomina sobie zdanie z przed dziesięciu lat.

Śmiesz was co?
HA! Będę dorosłego złote posiadał miano!

YYYYY...
KURWA...
To wszystko nie tak wyglądać miało...



SOBAKI V KOSMOSE
fot. Paweł Łęczuk

Drapanie

Agnieszka Horodyska

Drapię księżyc gałęziami
Idąc wolno leśną drogą.
Jeszcze blady, rozmazany,
Jeszcze niczyj, dla nikogo.

Las zasłonił Słońce rzędem,
Księżyc błysnął białym zębem.
Stoję na cichej polanie.
„Hej! Dziękuję za drapanie!

Sam nie mogę, jestem kulą,
Patrzę tylko, jak się tulą
Tam na dole, jak się drapia,
Potem stają i się gapią.”

Westchnął, wiatr mi musnął czoło.
„Chcesz balladę?” Kiwam głową.
I zaśpiewał jakby z nami
Śniła Pieśni nad Pieśniami.

Czysty jak spragniona sarna,
Jasny jak bliska latarnia,
Słodki księżyc na polanie,
Wdzięczny za zwykłe drapanie.

Ścinki

Tadeusz Rubik

warto zauważyć; oto potomek bikiniarzy
ostatni w tej rzece przestał liczyć na Amerykę
ostatecznie złamała go muzyka.

(radia przerywają na różnych odcinkach,
drzewa i deszcz, deszczowa piosenka)

warto zauważyć; w cieniu jak wy,
staje się w cieniu jak wy, chciał być inny
ostatecznie złamał go wasz styl.

(źle ubrani przegrywają na różnych odcinkach
burze i deszcz, deszczowa artyleria)

szkoda nawet gadać; chłopak się sypie
coraz cieńszy w pasie ale grubszy w głosie,
choć już nie krzyczy.

(kurtka zrobiona ze ścinków
i burza, i deszcz, i on też)

Dworzec

Piotr Oprządek

Światło lampy kotyszącej się pod sklepieniem ostatniego czynnego peronu drżało agonicznie - przechodzień przyspieszyłby, chcąc wydostać się na powierzchnię przed zapadnięciem mroku. W rzeczywistości żarówka przepalała się już przez niezliczone godziny, dające w sumie dni, tygodnie, miesiące. Przeciąg wydobywający się z dwóch równoległych tuneli przypominał oddech, tunele płuca, przyklejone do posadzki gumy - wysypkę. Zacieki okradały z resztek czytelności tablice ostrzegające przed złodziejami, drogowskazy kierowały widmowych podróżnych ku sufitowi tudzież podłodze. Dworzec był chory, trawiła go gangrena zapomnienia i zaniedbania, tak typowa dla gmachów, którym dane było przeżyć lata świetności i dla których lata te bezpowrotnie już minęły. Przed przebudową miasta stanowił jego okno na świat, by na starość niechętnie przyjmować w siebie kilka pociągów na dobę, których z niewiadomych przyczyn nie przekierowano jeszcze na nową stację. Kikut stanowi marną konkurencję dla zdrowej dłoni.

Będzie leżał odłogiem i gnił, tak bardzo, jak tylko może gnić beton i stal. Część nadziemna pełniła funkcję reprezentacyjną, właściwe życie (cóż za niefortunne wyrażenie) skupiało się w systemie tuneli i przejść, które pozbawione należytego oświetlenia upodobniły się do mrocznych lochów zamczyska w Otranto czy posiadłości Usherów. Podobnie jak one dworzec żył, w prawdzie trawiony przez śmiertelną chorobę, ale wciąż żył.

Rozległ się ryk maszyny. Metalowa bryła zapchała przewód komunikacyjny. Ściany zadrżały. Nawet groźbą zawalenia nie zdołałyby już zatrzymać rozpędzonej lokomotywy. By uporać się z ciałem obcym stary dworzec skierował je do jelita i wydzielił w centrum bebeczów - na ostatnim czynnym peronie. Wbrew własnej woli stworzył iluzję funkcjonalności, dającą pretekst do dalszego istnienia. Gdyby miał odwagę się zawalić, poświęcając kilka istnień ludzkich, zostałby niechybnie zburzony i jego cierpienia skończyłyby się bezpowrotnie. Co go przed tym jesz-

cze powstrzymywało? - nie wiedział. Mimo wszystko był tylko starym budynkiem.

Pociąg wjechał na peron. Nieliczni pasażerowie tej relacji o tej godzinie od dawna już spali, a nieliczni wśród nielicznych byli zbyt pochłonięci swoimi sprawami, by wyglądać przez okna na wilgotne widmo minionych lat. Dość wspomnieć, że żaden z nich nie potrafiłby później opisać dworca, ba, nikt nawet go nie pamiętał. Konduktor wyszedł na płytę, przeciągnął się, dwukrotnie ziewnął i wrócił do środka. Rozległ się gwizd i pociąg odjechał, z początku ospale jak jego zawartość, szybko nabrał tempa, jak gdyby chciał możliwie najprędzej opuścić wrogie mu miejsce. Gdy ostatni wagon zniknął w tunelu, odstąpił sobą ludzką sylwetkę, przypominającą wobec wszechobecnego bezruchu bardziej halucynację niż żywego człowieka. Była to młoda kobieta, ani ładna, ani brzydka, ani taka, ani żadna - jedna z tych, które mija się codziennie na ulicach wszystkich miast świata i od razu o nich zapomina. Dlaczego wysiadła o tak nieprzyjemnej porze na tak nieprzyjemnej stacji? Nie jest to w tym momencie ważne. Rozejrzała się odrywając obcasy od warstwy brudu i ruszyła ku schodom. Szła pochłonięta strzępkami myśli, kątem oka zauważyła jakiś ruch, a na pierwszy stopień padł cień jej stopy... Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Podłuzny, efemeryczny kształt przykleił się do ściany i zsunął w głąb tunelu, łącząc się ze swoimi pobratymcami w jedną ciemność.

- I czego się tu bać? - Pomyślała i delikatnie się uśmiechnęła, a kolano jej zadrżało.

Kilka ostrożnych kroczków zaprowadziło ją do korytarza tak niskiego, że gdyby miała ochotę podskoczyć, nie mogłaby jej zaspokoić bez uszczerbku na czubku czaszki. Ruszyła w lewo, trochę na chybił-trafił, wszak na drogowskaz liczyć nie mogła.

Pożerała oczyma malunki pstrzące chropowatą elewację. Mrowie zawieszonych w nicości penisów, "kurew" i "chujów", wyznań miłosnych i złorzeczeń, szubienic zaciskających pętle na szyjach tak cienkich, że namalowanych jednym pociągnięciem markera oraz artystowskich szablonów pozbawionych sensu w imię „alternatywności”, przyprawiało kobietę nieoswojoną z poetyką murów o wypryski na policzkach. Szczególne wrażenie wywarł na niej rysunek wykonany na połaci białej farby, przedstawiający siekiere zawieszoną nad sylwetką składającą się z kilku kresek. Jedna z nich, wyobrażająca ramię, była zgięta do wewnątrz postaci pod kątem prostym, druga aplikowała w owe zgięcie zastrzyk przy użyciu schematycznej strzykawki. Całość podsumowywał rozmazany napis: „Ćpun to ścierwo”, „Ćpun ty kurwo”, a może „Ćpaj ty ścierwo...”? Nie potrafiła się doczytać. W przeciwieństwie do pozostałych, niewyblakłych jeszcze tylko z względu na brak słońca i deszczu, powstał nie dawno, może wczoraj, może tydzień temu.

- Po co ktoś zadał sobie trud w tak wyludnionym miejscu?!

Tylko co ją to obchodziło... Przemęcznie robi swoje, niektórych przyprawia nawet o omamy. Jak nikt inny miała dziś prawo do przemęczenia, przetarła zatem oczy i przyspieszyła kroku, jednak zatrzymała się tknięta nagłym przecuciem.

- A nuż ów gryzmołn jest czyimś podpisem?

- Podpisem. Złożonym wykręconą kreską z malunku... Podpis. Podpis.

- Podpis!

- Przemęczenie... Omam? Podpis!

Uciekła od myśli o nim aż na koniec korytarza. Pomarszczona blacha blokowała najdogodniejsze przejście, okrężna droga prowadziła przez podziemia. Przy wejściu do nich dostrzegła jakiś ruch. Znowu! Po obu stronach czarnej dziury majaczyły zgarbione sylwetki. Zwolniła, by móc im się przyjrzeć przed nieuniknioną konfrontacją. Oparci o ścianę, z biodrami wypchanymi do przodu i z rękoma zwisającymi wzdłuż tułowia, dwaj degeneraci wpatrywali się w nadchodzącą kobietę niczym w ochłap rzucony im przez dworzec. Gdyby nie delikatne, deliryczne trzęsienie wzięłaby ich za resztki wyrzucane na ścianę przez Saturna pędzlem jakiegoś szalonego geniusza. Przyspieszwszy kroku błagała opatrność o brak kontaktu z tymi ludźmi. Oni też byli ludźmi! Chciała siłą rozpędu przebić się przez wzrok potępieńców i jak najszybciej zniknąć po drugiej stronie, niezależnie od tego, co miało ją tam czekać. Gdy była już w zasięgu ich rąk, gdy czuła ich fotor, a w końcu znalazła się z nimi na jednej linii, lewy pochylił się w jej stronę. Zatrzymała się. Złośliwy uśmiech wyrwał szparę w zaroście obnażając gołe dziąsła. Wargi zadrżały, a żuchwa opadła, żaden dźwięk nie wydobył się jednak z tych ust. Prawy odgarnął tłuste kłaki odstawiając twarz pokrytą mgiełką liszaju i wysunął przed siebie przedramię grubsze od kości tylko o skórę i żyły, oplatające je niczym zeschniętą winorośl. Usłużnie się uklonił, po czym wybuchł skrzypiącym śmiechem, który dźwięczał w uszach kobiety jeszcze długo po zakończeniu panicznego biegu.

Znalazła się w tunelu. Przypominał otchłań przeciętą przez dwa równoległe sznury świetlistych punkcików, zmniejszających się perspektywnie aż do całkowitego zlania ze sobą. Skąpo dysponowały swą jasnością - sufit był widoczny tylko tuż nad lampą, patrząc pod nogi można było ulec wrażeniu, że brodzi się w atramencie. Szła. Szła i szła.

Koniec drogi nie przybliżył się ani o jedno ogniwo, za to jaśniejący tańcuch pojawił się również za jej plecami, równie nieskończony jak z przodu. Szła. Zawieszona w prawie-nicości uległa otępieniu, nie myślała o niczym i tylko instynkt pchał ją do przodu. Szła. W miejscu gdzie ciemność wyznacza granice światła, w pół drogi od jednej żarówki do drugiej, dostrzegła opuchniętą twarz pomalowaną cieniami. Jej właściciela nie było widać, tonął w mroku. Gdy zobaczył młodą kobietę, opanował się do tego stopnia, że się na nią nie rzucił. Bał się zdemaskowania. Wystawił za to biały ozór i przesunął nim po górnej wardze odstawiając naprężone wędzidło. Nie miał w ogóle zębów, przez co lubieżne ruchy języka wydawały się jeszcze ohydniejsze. Przeszła obojętnie obok niego, marazm wzięt górę nad przerażeniem. Mijała twarze, ale ich nie widziała, szła, ale się nie przemieszczała. Zawieszona w pustce uległa jej naporowi i stawiała się jej częścią. Znikała i pojawiała się, była i jej nie było. Szła, szła i szła...

...aż doszła do kresu nieskończonego korytarza, tej czarnej dziury oswojonej przez światło.

Jak długo szła? Nie wiedziała. Nie wiedziała też, jak znalazła się w kwadratowym pomieszczeniu wypełnionym dymem, który bezskutecznie szukając ujścia, rozbił się na wszechobecną mgiełkę. Wraz ze świadomością powrócił lęk. Rozbita przez uczucie zbudzenia się z długiego snu, przystanęła nie wiedząc. Dym wydobywał się z płonącego kosza na śmieci ustawionego na ławce, ogień zaś zabawiał się jej kosztem rzucając na ściany cienie, wszędobylskie i poskręcane jak macki ośmiornicy. Jako jedyne oświetlenie mógł sobie pozwolić na okrucieństwo. Na przeciwległej ścianie zionęły trzy drzwi. Tabliczki, informujące dokąd prowadzą, już dawno nie istniały. Gorąc nie pozwalał na rozmyślanie, dym dusił i oślepiał. Mimo to jego obecność w pewien straceńczy sposób ucieszyła zagubioną kobietę - jako część pozadworcowości był przejawem buntu, próbował stąd uciec. Impuls zastępujący rozum pchnął ją ku środkowym drzwiom. Przekraczając próg przypieczętowała swój los. A może zrobił to dworzec? Tunel, do którego trafiła, był dużo krótszy i jaśniejszy od poprzedników, a mimo to tak samo odpychający. Światłówki uwydatniały wszelką nieczystość, wprowadzając jednocześnie nastrój chorej sterylności. Mniej więcej w połowie korytarza zobaczyła wnękę, nad którą ktoś wydzielił sprayem nieczystości umysłu w formie poskręcanych w obscenicznym uścisku głowonogów z uwydatnionymi genitaliami. Dzieła dopełniał, jakże adekwatny do niego, rozmazany podpis. Musiała pod nim przejść, by dotrzeć do kolejnej pułapki bez wyjścia, przez którą mogłaby wyjść na zewnątrz. Myśl, że zaklęta w bohomasie lubieżność miałaby zawisnąć nad jej głową, chociażby na kilka chwil, przerażała ją i napawała obrzydzeniem zarówno do samej siebie, jak i wszystkiego, co ją otacza. Zaczęła nasiąkać gnilną melancholią na wpół martwego bu-

dynku. Wypaczał on wszelką żywotność znajdującą się zbyt długo w jego zasięgu i jednocześnie uzależniał swoje ofiary. Uwięzieni w tunelach stawali się ich częścią, nieudolnie imitując zaludnienie. Dworzec próbował się jeszcze oszukiwać, że jest komuś potrzebny. Im dłużej w nim błądziła, tym bardziej się z nią oswajał i obmyślał plany wykorzystania nadarzającej się okazji, kobieta zaś, przeczuwając nadchodzącą falę odrętwienia, przyspieszyła kroku, by jak najszybciej minąć obmierzłą wnękę i wydostać się z jasnego miejsca... A jednak spojrzała w jej stronę! Na zaplutej ścianie wspierały się w akcie kopulacji postaci tak ohydne, że opis nie jest w stanie oddać bijącej od nich aury obrzydzenia. Ogrom odczłowieczenia kochanków przytłoczył kobietę do tego stopnia, że mimo prawie fizycznego bólu spowodowanego obcowaniem z nimi, nie potrafiła oderwać od nich uwagi, jednocześnie nie potrafiąc przyjąć tak wielkiego ładunku nieczystości. Bezwstydność tych ludzi urastała do rangi monumetu postawionego na cześć brzydoty i zepsucia. Z gardzieli któregoś z nich wydobył się charkot rozkoszy, za odpowiedź posłużyło obleśne mlaśnięcie. Po kilku sekundowych wiekach minęła wreszcie grootę i straciła widowisko z oczu. A postaci nadal zagłębiały się w sobie. A malunek nadal opisywał je niczym tabliczka w muzeum. Będą się więc w bezowocnym stosunku aż do końca, swojego lub dworca. Był to widok pozostający w pamięci w nienaruszonej formie przez całe życie, widok którego ludzki umysł nie jest w stanie ani zohydzić, ani upiększyć. Jedyną ucieczką jest uwięzienie go w Tartarze podświadomości, gdzie uzbrojony w skojarzenia kalające wszelkie piękno czeka na uwolnienie przez kryzys psychiczny, by wydobyć się na wierzch niczym zastęp sturekich i przejąć kontrolę nad całą percepcją. Jego sukces nazywa się obłędem. Wstrząśnięta kobieta wstydziła się każdego spojrzenia w tamtą stronę, jednocześnie żałując każdej chwili, kiedy je odwracała.



fot. Jakub Jabłotka

Za rogiem mieściły się kasy biletowe. Tylko jedno okienko było wciąż czynne. Starsza pani ubrana w granatowy uniform i zbyt jaskrawy makijaż przysypiała na stanowisku pracy. A może była martwa? Nie jest to w tym momencie ważne. Za kasami kilku miejscowych szeptało między sobą, a gdy któryś zbyt głośno podniósł głos, wszyscy nerwowo spuszczaali wzrok, jak gdyby w przestrachu przed karą za zbyt głośne zachowanie. Przeszła obok z zamkniętymi oczami - zapewne byli równie obrzydliwi jak pozostali. Nie wytrzymałaby już nawet ukradkowego spojrzenia na ludzki szlam, a przynajmniej tak jej się wydawało. Znajdowała się w głównym holu, najwyższym i największym spośród wszystkich dotychczasowych pomieszczeń. Rozkład, wiszący tuż pod zegarem bez wskazówek, zapowiadał na najbliższy kwadrans połączenia do kilku europejskich stolic. Nie zdołała jej to rozśmieszyć. Nawet nie zauważyła fresków na suficie, jedynego niezniszczonego wspomnienia minionej wielkości, trupiego garnituru.

Dużo niżej przetaczał się zastęp degeneratów: młodych i starych, wysokich i niskich, zepsutych i ślepych. Niektórzy kuleli, inni zataczali się, jeszcze inni kiwali prowokacyjnie na boki. Kaleczyli wzrok i węch idącej naprzeciw kobiety. Gdy ich mijała, wstrzymała oddech i spięła wszystkie mięśnie. Jeden z nich, rudy karzeł z twarzą czerwienią od włosów, przejechał szorstką dłoń po jej udzie i zaśmiał się, ukazując cuchnącą czeluść wraz z jej różowym i ruchliwym mieszkańcem. Wzdrygnęła się ku ucieście całej grupy, która utworzyła wokół niej okrąg parszywych ciał. W obliczu namacalnego zagrożenia powróciła żądza życia. Wyprostowała się, wypięta dumnie pierś i rzuciła im groźne spojrzenie, a oni się śmiali. Przeraźliwie, histerycznie, okrutnie. Rudy karzeł położył się nawet na ziemi, by móc swobodnie oddać się duszącym go torsjom, kilku wzięło z niego przykład. Pluli śmiechem pod sam sufit, który zdał śmiać się razem z nimi. Śmiały się ściany, śmiały się cały hol. Śmiały się lampy i kilka z nich zgąsło. Nie śmiała się tylko kobieta. Wysoki chudzielec poora-ny bliznami po ospie zaryczał jak osioł... i nagle cały śmiech zamilkł, jak gdyby był tylko urojeniem wśród nieprzeniknionej ciszy.

Zrobili krok w stronę kobiety. Nie miała odwagi się cofnąć. Postąpili o jeszcze jeden. I znów się nie cofnęła. Jeszcze jeden i znalazła się w zasięgu ich rąk. Wąsacz z bielmem na oku oblizał wargi, a karzeł, dumny ze swego odkrycia, zatarł dłonie i przybliżył się na tyle, że jego czupryna muskała kolana ofiary w beczelnej parodii gry wstępnej. Wyszczерzył się i przywołał wyższych kompanów. Chudzielec pogładził kobiece włosy opuszkami powykręcanych palców, wąsacz zaś otarł pot z czoła i rozpiął koszulę, wówczas żółta, niegdyś prawdopodobnie biała. Karzeł zbliżył dłoń do tydki, nim jej jednak dotknął, zamarł. Wszyscy wyężyli słuch. W powietrzu wibrował dźwięk przypominający rżenie nienaoliwionego łańcucha od roweru. Kpiące uśmiechy ustąpiły miejsca niekłamanemu przestraszowi. Karzeł zdobył się jeszcze na szyderczy ukłon przed niedosłą denatką, po czym dołączył do towarzyszy, będących już w zaawansowanym stadium odwrotu. Co było jej wybawieniem? Oczywiście nie

wiedziała. Nie mając zbyt dużego wyboru ruszyła dalej, ku mrokowi emanującemu od zgaszonych lamp.

W jednym z odgałęzień korytarza zobaczyła klęczącego człowieka przyklejonego plecami do ściany. Zatrzymała się, poczuła bowiem coś więcej niż strach i obrzydzenie. Młody mężczyzna drgał konwulsyjnie i raz po raz szarpał gwałtownie do przodu, co za każdym razem kończyło się grymasem bólu powracającym na twarz. Mimo zniszczonej fizjonomii pokrytej siatką blizn i zadrapań, potężnej budowy ciała i wyblakłych tatuaży wystających spod postrzępionego ubrania, budził współczucie, może nawet cień zaufania. Spojrzała w jej stronę błękitnym spojrzeniem przytłumionym przez cierpienie i ze zdwojoną determinacją rzucił się przed siebie, po czym od razu skulił się z sykiem na tyle, na ile pozwalało mu dziwaczne położenie. Do oczu nabiegły łzy, połamane zęby przygryzły dolną wargę. Szarpał sobą jeszcze pół tuzina razy, zanim bezwładnie zawisł na betonowym krzyżu. Dotknęła krótko ostrzyżonej głowy męczennika. Uniósł ją ostatkiem sił i wbił w kobietę spojrzenie tak przenikliwe i przepętnione zarazem beznadzieją i wolą walki, że mimo ostatnich przeżyć zdołał ją do cna poruszyć.

-Przyrośłem do ściany...- Wycedził -...już się stąd nie wyrwę?

I nagle rzucił się do przodu tak potężnie, że zdawało się, że wyrwie razem z sobą połac muru. Z gardła wydarł się żalosny jęk, a szyja wyciągnęła jak sprężyna, po czym zawisła nad torsem. Umęczony młodzieniec zapadł w odrętwienie spowodowane bólem, bliźniaczo podobne do snu, lecz niedające odpoczynku, jedynie chwilowe zapomnienie.

Z każdym krokiem coraz bardziej zapadała się w ciemnościach. Za jedyny drogowskaz służył jej ów metaliczny dźwięk, który tak bardzo wystraszył napastników. Dobiegał jej uszu raz z bliska, raz z daleka, raz po bokach, a raz tuż przed nią. Przyzwyczaiła się do niego, mogłaby go nawet polubić. Straciła już wszelką nadzieję, szła tylko po to by w chwili nieuwagi gdzieś nie przyrosnąć. Chciała umrzeć w ruchu. Dźwięk oddalił się gwałtownie, po czym ucichł, nie z powodu odległości, po prostu ucichł, zatrzymał się. Nie była w stanie przejąć się ani tym, ani cokolwiek innym. Zobaczyła światło padające na ścianę i majaczący w nim podłużny kształt. Jakaś ręka smarowała markerem po murze. Powstawał rysunek nieprzeznaczony dla ludzkiego oka, ohydny w formie i treści, wykonany obmierzlą kończyną przypominającą jedną z jego kresek. Zobaczyła go kątem oka i świadomość powróciła w całej krasie. Właśnie powstał... podpis. Podpis. Podpis!

-Przemęczenie?- Zmusiła się do cynicznego uśmiechu. Ręka zakończyła dzieło trzonkiem siekiery, zawisłej nad głową tytułowego ćpuna. Ponownie rozległ się metaliczny dźwięk. W kałuży światła pojawiło się cienkie koło o dużej średnicy i kokieteryjnie zaskrzypiało, a po chwili wjechał doń wózek inwalidzki z beznogim mężczyzną, owiniętym pstrą szmatą zakrywającą kikut. Od nienaturalnej sylwetki biło złoto. Złoto świadome i zdolne do wszelkich wszechcieństw czynionych we

własnym imieniu, szydercze i bezinteresowne, a przy tym czyste, nieskażone żądzami czy jakimkolwiek innym odcieniem człowieczeństwa- to samo, które zatruwa żywność podarowaną głodującym i które przysypuje lawiną psa-ratownika, gdy ten jest już w polu widzenia potrzebującego. Nawet ukradkowe spojrzenie w stronę kaleki budziło tysiące skojarzeń, każde kolejne bardziej niepokojące od poprzedniego. Po kilku sekundach patrzenia wyobrażenia kobiety wyczerpała zasoby okropieństw możliwych do ubrania w myśli i zajęła się eksploracją pierwotnych lęków, nieuświadomionych, niepojętych i niewystawionych. "Nie ufaj ludziom, którzy nie mają jakiejś części ciała - zabrał ją diabeł, a w zamian dał im siebie." - Gdzie usłyszała te słowa? Nie wiedziała. Dopiero teraz pojęła ich sens.

Kaleka uniósł rachityczne ramię pokryte strupami i odgarnął kłaki opadające na twarz. Oblicze martwe, matowe i szare, pokryte rudawą szczecinką i skrajnie wychudzone nie mogło należeć do żywego człowieka. Kości sterczały znad zapadniętych policzków, głębokie zmarszczki przecinały symetrycznie twarz od połowy wysokości nosa, aż po kwadratową szczękę. W rozwartych oczach, pokrytych szklistą materią, z trudem doszukała się mikroskopijnych punkcików - puste ślepie mimo wszystko zachowały zdolność widzenia. Powieki i ich okolice poznały drżąca dłoń, tatuując nań krzywe linie wykonane nieudolnie do tego stopnia, że w wielu miejscach nachodziły na siebie, w innych znów zionęły przerwy w ich ciągłości. Poziome blizny przedłużające kąci ust poszerzyły się w kokieterijnym uśmiechu. Beznogi znacząco spuścił wzrok, kobieta podążając za nim skupiła uwagę na jego przedramionach. Odwrócił jedno z nich wewnętrzną stroną w jej kierunku - bladą skórę znaczyły niezliczone nakłucia. Ściśnięte jedno przy drugim upodobiły skórę do gadziej łuski. Gdzie będzie robił kolejne zastrzyki? Czytając jej w myślach wyprężył szyję - to, co wcześniej wzięta za zwyczajne strupy, okazało się nakłuciami na tętnicy. Rozpiął kurtkę i odwinął łachman zaśnaniający go od dołu. W jego ciele nie było już żadnej nie nakłutej żyły. Ta bestialska kpina nie zdołała pogłębić przerażenia kobiety gdyż plasowało już na najwyższym możliwym poziomie. Straciła wszelkie oparcie; ciało odmówiło posłuszeństwa, umysł dopraszał się już tylko ulgi. Gdy ćpun wydobył spod siedzonka szklaną strzykawkę wypełnioną brązową cieczą, nie odsunęła się od niego ani o krok. Grymas niepoohamowanego sadyzmu i zapowiedź spełnienia wykrzywiły twarz potwora, i bez nich wystarczająco straszną.

I wtedy stało się coś dziwnego. W czasie mrugnięcia dworzec skąpał się w jasności. Gdyby kobieta i jej prześladowcy mieli akurat otwarte oczy ujrzeliby ją, wszechogarniającą jasność, jakże inną od sztucznego światła żarówek. Jasność, w której zwiędły dworzec ponownie rozkwitł, rozwijając perony w oczekiwaniu na rój pociągów. Jasność, w której brud odkruszył się i rozwiany przez wiatr przestał być niebezpieczny, a degeneraci odzyskali zgubione zęby i godność. Jasność życiodajną i oczyszczającą. I jasność zniknęła, a dworzec znów upadł. Nikt jej nie zauważył, co nie

znaczy, że jej tam nie było.

Koła wydały dźwięk przypominający rżenie nie-naoliwionego łańcucha od roweru. Położył dłoń na jej udzie, następnie przesunął ją wyżej, ku brzuchowi i odgarnął koszulę obnażając nagie ciało, zadziwiająco gładkie i miękkie. Zadowolono go, pochwycił więc przedramię i obciągnął z niego rękaw. Przejechał szponem wzdłuż żył i zadumał nad nimi. Ach, jakie były gładkie i dziewicze! Kontemplował je przez dłuższą chwilę, zanim zatopił w jednej z nich wysłużoną igłę i wtłoczył doń jej zawartość. Zamiast spełnienia przyszło nienasycenie. Wyciągnął igłę i wbił ją ponownie, tym razem bez zastrzyku i z dużo większą siłą. Przebił żyłę na wylot, na zgięcie łokcia wyłynęła fioletowa plama. Nie przejął się tym, znów wyjął igłę i znów ją wbił. I znów. I znów. I znów. I znów. Kłut w dzikim szale dysząc z podniecenia, a ona oddawała mu się, pożądając już tylko końca. Gdy pokalał jej ręce dziesiątkami ranek, zaczął przebijać się przez ubrania nakłuwając na chybił trafił wszystkie członki będące w jego zasięgu. Kłut brzuch, nogi, ramiona, piersi i po raz pierwszy czuł, że naprawdę żyje. Wycieńczona kobieta padła na kolana. Igła podziurawiła jej policzki, zanim osunęła się na ziemię. A on kłut dalej, pogrążony w tej dziwnej orgii.

W tym samym czasie stare małżeństwo, wspominając miejsce swojego pierwszego spotkania, zapuściło się na jeden z opuszczonych peronów, do którego wejście blokowała blaszana płyta. Mąż, pod wpływem wspomnienia młodzieńczego animuszu, odsunął ją tracąc na zawsze możliwość wykonywania zawodu.

Kilkoro dzieci wspinało się po stromym rusztowaniu ustawionym wokół dworca. Najodważniejszemu, a może najgłupszemu z nich, został w dłoni kawałek pręta, za który się złapało osiagając szczyt.

Bezdomny uległ zaczadzeniu w podpalonej przez chuliganów poczekalni. Umarł na progu prawych drzwi, kilka metrów od wyjścia na świeże powietrze.

Lokomotywę wjeżdżającą na peron przywitała salwa walącego się sklepienia. Cudem obyło się bez ofiar śmiertelnych.

Na ostatnim czynnym peronie zgasła wreszcie migająca lampa. Wcześniej przygniotła przechodnia. Nieszczęśnik próbował zdążyć wydostać się na powierzchnię przed zapadnięciem ciemności.

Młoda kobieta zaginęła bez śladu. Nie wielu jej szukało i nikt jej nie znalazł. Wiadomo tylko, że wysiadła na stacji x.

Opinia publiczna zawrzała. Tyle nieszczęść prawie w tym samym czasie! Dworzec zburzono. W końcu zdobył się na ostateczne przerwanie swej męki. W jego miejscu niczego nie wybudowano.

A jasność...

Biuletyn redaguje zespół uczestników sekcji literackiej.

Redaktor prowadzący: Paweł Łęczuk

Współpraca: Darek Foks

Projekt okładki: Zuzanna Rogatty

Skład i łamanie: Szymon Piasta

Zdjęcia: Jakub Jabłonna, Paweł Łęczuk, Ola Nykowska, Martyna Woch

**Odejdź!
Nie podchodź!
Nie zaczepiaj!**



fot. Ola Nykowska

